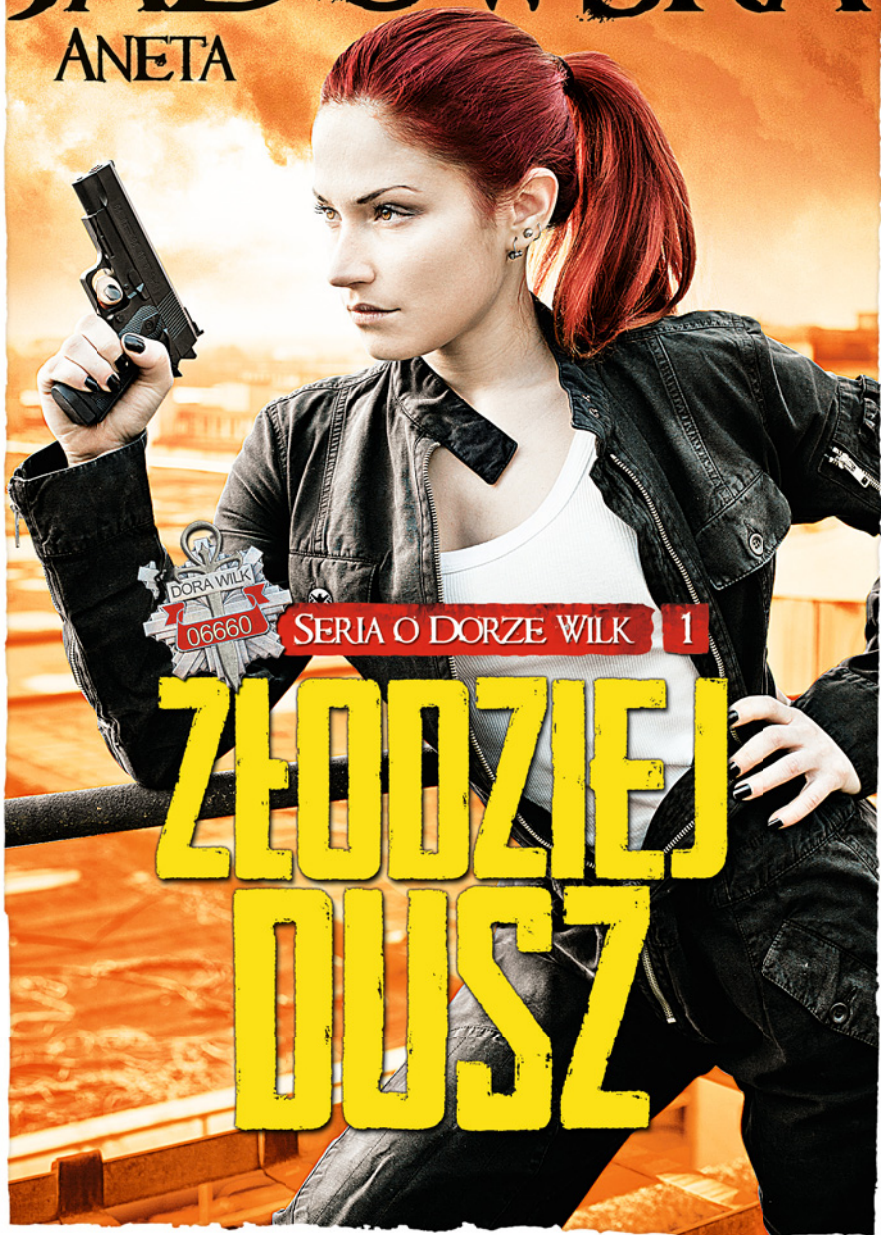


JADOWSKA

ANETA



DORA WILK
06660

SERIA O DORZE WILK 1

ZŁODZIEJ DUSZ

ZŁODZIEJ DUSZ



fabryka słów
W D A W N I C T W O



JADOWSKA

ANETA

SERIA O DORZE WILK

ZŁODZIEJ DUSZ

fabryka słów

Lublin 2013

Seria o Dorze Wilk:

1. Złodziej dusz
2. Bogowie muszą być szaleni
3. Zwycięzca bierze wszystko

Rozdział 1

Paulina Kozanek należała do tych kobiet, z których ludzie śmieją się za plecami, ale tak, by ich na tym przyłapały. Ze swoją lekką nadwagą, podwójnym podbródkiem skrytym w obfitej kryzje koronkowego kołnierzyka, makijażem mocnym jak u tancerki z nocnego klubu i włosami odświeżanymi płukanką, która nadawała fryzurze delikatny odcień zsiniałych z zimna rąk, wyglądała jak wiele jej podobnych niewiast. Licznie reprezentowanych w każdym społeczeństwie starszych pań, wdów przeważnie lub ofiar niezmiennie darwinowskiego rynku matrymonialnego – zawsze były inne, młodsze, do których ich mężowie mogli odejść i co z reguły robili. Pan Kozanek zrobił.

Podjeżdżałam, że Paulina Kozanek dała się we znaki wielu osobom. Jej uporządkowane do przesady mieszkanie, stos poduszek i obrazków ręcznie haftowanych ścięciem krzyżykowym sugerowały, że dysponowała nadmiarem wolnego czasu, co zwykle kończy się nudą, która popycha starsze panie do wsadzania nosa w nie swoje sprawy. Z pewnością nobliwa niewiasta miała wro-

gów, czy jednak był wśród nich ktoś, kto wykracza poza standardy osoby, która nie przepada za starszą panią? Ktoś, kto mógłby zrobić coś takiego?

Sądząc po zapachu panującym w mieszkaniu, ciało musiało tu leżeć tydzień, może dłużej – było chłodno, wszystkie kaloryfery przykręcone do zera, co spowodowało rozkład. Schludne ubranie ofiary nie nosiło śladów walki. Skulona na dywanie wyglądała, jakby spała i być może złudzenie byłoby pełniejsze, gdyby nie zaschnięta brązowa skorupa krwi, otaczająca jej głowę posępną aureolą.

Ktokolwiek wiedział o Paulinie Kozanek coś, co doprowadziłoby mnie do zabójcy, teraz będzie siedział cicho, przez pamięć o zmarłej. Będzie przedstawiana jako święta wcielona, co tylko utrudni moją robotę. Zbyt długo pracuję w policji, by wierzyć w świętych. Nawet Mikołaj ma na koncie co najmniej włamanie do domów. Kto wie czemu naprawdę chce te wszystkie dzieciaki sadzać na kolanie...

– Koroner już jest? – spytałam posterunkowego Piotra, który choć przydzielony był bezpośrednio do mojego oddziału i poniekąd mi podlegał, najchętniej udawałby, że mnie nie zna. Zerkał na mnie niechętnie i odpowiadał na pytania, tylko jeśli nie mógł ich zignorować.

– Jest. Prokuratora nie ma. Zresztą był zły, że go pani wzywa do jakiejś staruszki, która pewnie dostała zawału.

– Jasne, a umierając, zasztyletowała się widelcem, który rozpląnął się w powietrzu na skutek utleniania się żelaza... Co za brednie.

– Tu się z tobą zgadzam w całej rozciągłości. – Bogna była ubawiona. – Utlenianie żelaza trwałoby znacznie dłużej niż tydzień i zostałyby ślad rdzy w ranach.

– Cieszę się, że już jesteś, dość mam sterczenia w tym przybytku naftaliny. Obejrzałaś zwłoki?

– Pobieźnie, na ile mogę to zrobić tutaj, nie ruszając jej nadmiernie. Na pewno nie była to śmierć naturalna, dwie rany kłute na szyi, nawet niezbyt głębokie, ale dość, by uszkodzić tętnicę. Zabieraliście coś?

– Nie, czekałam na was.

– No więc brak narzędzia zbrodni...

– Ale dojdiesz do tego, czego mam szukać?

– Jak zawsze. – Uśmiechnęła się.

Była znakomita w swoim fachu, nie popadała przy tym w tak częste u przedstawicieli tej grupy zawodowej wisielczy humor lub alkoholizm. Skoro oficer policji i patolog mówią, że nie ma mowy, by śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych, to ten patafian z prokuratury powinien już dawno tu być... Albo zostawić mi oględziny i dokumentację i czekać, aż raporty pojawią się na jego biurku. Naoglądał się amerykańskich kryminalistów i sądzi, że jego bystre oko dostrzeże to, co ja, głupia baba, przegapiłam.

Pokój roił się od ludzi, ktoś robił zdjęcia, ktoś rozmawiał przez telefon. Nie było mi to na rękę, musiałam bowiem dyskretnie coś sprawdzić. Podeszłam do zwłok i uważnie przyjrzałam się śladom na szyi. Dwa czerwone punkty, jeden przy drugim, oddalone (sprawdziłam małą miarką) o trzy centymetry od siebie... Wątpiłam, by był to wampir – za dużo krwi na dywanie, poza tym one wołają młodsze ofiary, pachnące bardziej apetycznie, o jędrnych szyjkach i tętniczkach. Od dawna też nie słyszałam, by kogoś zabiły, wołałam jednak sprawdzić. Ślady na szyi, brak narzędzia zbrodni... rozumiecie mój tok rozumowania? Oczywiście nie zamierzałam dzielić się

moimi podejrzeniami z Bogną czy patafianem, ale sama dla siebie musiałam wiedzieć. Trzy centymetry nie wykluczają kłów, jednak intuicja podpowiadała mi, że nie był to krwio pijca. Dyskretnie dotknęłam zimnego czoła. Musiałam zdjąć rękawiczki, by cokolwiek poczuć, co było jawnym pogwałceniem regulaminu, ale tylko tak mogłam zebrać jakieś resztki aury. Często na ofiarach morderstwa zostawał wyraźny ślad przemocy, jakby pieczęć agresji i emocji, głównie strachu, czasem nawet wskazówki co do sprawcy, ale wyczuwalne były tylko kilka godzin, czasem dni, w zależności od natężenia uczuć towarzyszących ostatnim chwilom zmarłego. Tym razem nie wyczułam prawie nic, lekkie mrowienie w palcach niosło tylko jedną emocję – totalne zaskoczenie. I jakby... irytację. Paulina Kozanek przed śmiercią nie bała się. Była poirytowana.

– Wilk, co ty robisz, do cholery? – gardłowy i nieprzyjemny głos prokuratora Marcina Żamłody wyrwał mnie z zamyślenia. – Z jakiej to okazji dotykasz ciała bez rękawiczek?

– Okazją są oględziny zwłok, które mielibyśmy już za sobą, gdybyś raczył się tu pofatygować wcześniej, Żamłoda – warknęłam.

– Jest niedziela, ciesz się, że tu w ogóle jestem.

– Jakoś nie mogę tej radości w sobie odnaleźć. Trzeba było dać znać, że niedziela ci nie pasuje, może pani Kozanek umarłaby innego dnia.

– Pieprz się.

– Tak, to bardzo dojrzała riposta.

Sapnął. Zawsze łudził się, że jego słowo będzie ostatnim. Prawie dwa lata współpracy niczego go nie nauczy-

ły. Przeciwnie, na mój widok reaguje jak pies Pawłowa – toczy pianę. Nie wiem czemu, ale zawsze coś do mnie miał. To znaczy wiem. Czuł, że ze mną jest coś nie tak, ale to jego problem, nie muszę mu tłumaczyć, kim jestem i co robię. Żmłoda miał w genach jakiś cień nadnaturalny, może był pociotkiem więdźmy czy innego magicznego stworzenia, nie dość jednak rozwiniętym, by mnie rozpoznać. Pozostawały mu tylko niepokój, mrowienie w rękach i przeczucie. Utrudniało mi to nieco życie, ale nie spędzało snu z powiek.

– Rób, co do ciebie należy, ja sprawdzę, co zebrali chłopcy w wywiadach.

Przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu było bardziej irytujące niż noc w kanałach w towarzystwie szczurów.

– Tylko ich nie obmacuj.

– Bardzo śmieszne. Gdybym miała taki zamiar, i tak byś się nie załapał, więc możesz zachować fantazje dla siebie. Myślenie życzeniowe, mówi ci to coś? – Odwróciłam się, nie obdarzając go spojrzeniem.

Sapnął. Pies Pawłowa.

Chłopcy, a dokładnie dwaj młodzi posterunkowi, Jacek i Piotr (zwany na posterunku Plackiem, jako że ci dwaj byli praktycznie nierozłączni i zaczęli służbę w tym samym czasie), kończyli już zbierać zeznania sąsiadów. Domyślałam się, co usłyszę. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, święta kobieta i nie wiedzą, co za zwyrodnialec mógłby podnieść na nią rękę. Zaskoczyli mnie.

– Podobno Kozanek była prawdziwym wrzodem na dupie – powiedział Jacek, przeglądając zapiski w notesi-

ku z miną pilnego ucznia, pasującą do jego urody nastoletniego chłopca.

– Rozwiń, proszę.

– Kilkoro sąsiadów składało na nią skargi, nawet wzywali policję z powodu naruszania ciszy nocnej.

– Nie powiesz mi, że imprezowała w swojej serwetkowej melinie?

– Nie, ewangelizowała. Od rana do nocy na cały regulator miała ustawioną jedyną słuszną stację radiową.

– O cholera, w tym bloku to podpada pod tortury!

Bloki na Legionów były miłe i niewysokie, ale miały jedną istotną wadę, ściany były cienkie, akustyka koszmarna. Na studiach przez kilka miesięcy wynajmowałam pokój dwie klatki dalej.

– Właśnie.

– Kto skarżył się najczęściej?

– Sąsiedzi z góry i z mieszkania obok, po trzy zgłoszenia. U góry mieszka młoda rodzina z kilkuletnim dzieckiem, z boku studenci. Bez meldunku, więc nikt nie kwapił się reagować na zgłoszenia.

– Cholera, mam nadzieję, że dzieciakom nie puściły nerwy. Gdyby była moją sąsiadką, mogłabym mieć wypadek przy czyszczeniu broni.

– Wiem, co masz na myśli. – Jacek wyszczerzył równiutkie ząbki. Zapewne w liceum nosił aparat ortodontyczny, co oznacza, że zdjął go nie dalej niż dwa lata temu. Piotr stał obok posępny, unikał mojego wzroku.

– O co chodzi? – zapytałam, wiedząc, że mi nie odpowie.

– O nic, proszę pani. – Nadal uciekał oczyma. Nikt w całym komisariacie nie zwracał się do mnie w ten spo-

sób. Zignorowałam go. Nie wszyscy muszą mnie lubić. Nie wyczuwałam od niego napięcia mocy, aura sugerowała zwykłego homo sapiens. Przeżyję.

Na miejscu powinien być już cały zespół, którego byłam częścią, ale wciąż czekałam na Nowakowskiego i Witkaca. Zakładałam, że mogą się nie pojawić, choć wolałam, by było to tylko złe przeczucie. Dość miałam świecenia za nich oczami przed szefową. Wystarczająco często świeciłam za samą siebie. Zwłaszcza w tych dniach wolałam nie wchodzić jej przesadnie w zasięg radaru, wciąż nie odbyła się „poważna rozmowa”, którą zapowiedziała po wpłynięciu na mnie skargi.

Nowakowski pojawił się ponad dwie godziny po wezwaniu. Jak zawsze niechlujny, niepodopinany, jakby obudził się w kanale i po ciemku zbierał swoje rzeczy. Pod pięćdziesiątkę, z lekką nadwagą i przerzedzonymi włosami, wyglądał jak kuzyn Ferdka Kiepskiego. Był niewiele bystrzejszy. Myślał, że nikt nie zauważy, że pociąga z piersiówki coś więcej niż ziółka na ból brzuszka. Wrzuciłam ramionami. Nie ja go zatrudniłam, choć musiałam z nim pracować. Nie mam już kłopotów z jego lepkiemi rączkami, odkąd porachowałam mu kości, dokładnie kości ręki. Połamałam mu palec lewej dłoni, kiedy usiłował mnie poklepywać po tyłku. Może nie zareagowałabym tak gwałtownie, gdyby nie okoliczności. Pochylałam się właśnie nad ciałem brutalnie pobitego kilkulatka. Nawet taka okazja czyniła go złodziejem.

Stał przede mną, zaspany i nieświeży, z permanentnym kacem, który nie miał nigdy okazji przejść w stan miniony, i rzucał mi aroganckie spojrzenie.

– Referuj – powiedział.

Jasne, to, że jest dwie dekady starszy i jest facetem wystarczająco, by mną dowodzić. Palant, mieliśmy ten sam stopień.

– Sam sobie zreferuj. Trzeba było przyjechać na czas, nie byłbyś teraz w tyle.

Wysłałam na korytarz, zostawiając go w serwetkowej melinie z Jackiem i Plackiem. Rozejrzałam się po klatce. By na nią wejść, trzeba pokonać domofon, była więc czysta, bez śladów graffiti na ścianach czy zapachu moczu. Zamek u drzwi nienaruszony. Chłopcy z laboratorium pobierali już odciski palców, ciemne ślady proszku daktyloskopijnego pokrywały klamkę, ale wiedziałam, że niewiele mi to da. Zabójca znał ofiarę, musiał być w tu wcześniej, może był zaproszony. Statystyki wskazują, że ponad sześćdziesiąt procent morderstw popełniają członkowie rodziny i osoby bliskie ofierze. Jeszcze jeden powód, by trzymać się z daleka od własnej rodzinki. Zanotowałam w czarnym moleskinie, by sprawdzić rodzinę i wezwać wszystkich na przesłuchanie. Wysłałam przed blok, zajrzałam w krzaki przy chodniku i pod oknami, ale nie znalazłam nic podejrzanego. Czekałam, aż Bogna i jej asystent Tomasz, zwany Tomciem Paluchem, zabiorą ciało i w mieszkaniu zrobi się luźniej. Chciałam zrobić własne zdjęcia miejsca zbrodni, przyjrzeć mu się, wykorzystując wszystkie moje zmysły, także te, których nie mają śmiertelnicy. Zaglądałam właśnie do najbliższego śmietnika, kiedy przed klatką zatrzymała się takśówka i pojawił się Witkacy. Lubiłam go, choć należałam tym samym do jednego z najmniejszych fanklubów na komendzie. Równie niewielki był tylko mój. Witkacy naprawdę nazywał się inaczej, ale na ksywę zapracował

prawdziwie naukowym podejściem do eksperymentowania z używkami. Wszelkimi, także tymi zakazanymi przez polskie prawo. Podejrzewam, że naprawdę nie robił tego dla odlotu, ale z pasji poznawczej. Przełożeni nie docenili jednak tego poświęcenia, zwłaszcza że pracował w jednostce do zwalczania problemu narkomanii. Dostał przeniesienie. Nieodurzony był cholernie inteligentny i spostrzegawczy, właśnie dlatego, gdy doszły mnie słuchy, że szukają dla niego przechowalni, poszłam do Anity, naszej szefowej, i zaproponowałam, by dała go sobie podrzucić.

Mojego wzrostu, ale suchotniczo chudy, zawsze zmarznięty, był na swój sposób atrakcyjny. Kobiety przyciągała otaczająca go aura nieszczęścia i melancholii. Po prawdzie, Witkacy to najbardziej depresyjna jednostka, jaką znałam, ale nie z tych, którzy oczekują pocieszenia i przytulania do piersi.

– Hej, Ti – tylko on się do mnie tak zwracał, pozwalałam mu na to, nawet lubiłam. – Widzę, że świetnie się bawisz.

Zerknęłam na swoje ręce w rękawiczkach i śmieci dookoła stóp.

– Wiesz, że zrobię wszystko, by nie zostawać z Nowakowskim zbyt długo w jednym pomieszczeniu. – Zaśmiałam się. – Nawet przeglądanie śmietników jest lepsze.

Uśmiechnął się bez cienia prawdziwej wesołości.

– Jak się masz, Witkac, ciężki weekend? – zapytałam, widząc wyraźne cienie pod jego oczyma.

Skrzywił się tylko.

– Jak zawsze, od piątków jest gorsza tylko sobota, a tę dwójkę na głowę bije niedziela, wiesz, jak jest.

Wiedziałam, że jest sam. Myślał, że ja też jestem sama. Na swój sposób byłam, ale nie tak jak on. Choć może on też miał przyjaciół, których krył przed światem.

Hałas przy drzwiach wejściowych zwrócił naszą uwagę. Bogna przytrzymała drzwi, kiedy technik i Jacek wynosili ciemny worek z ciałem. Kolejne osoby opuszczały miejsce zbrodni, nawet Nowakowski wytoczył się zasapany. Skinęłam na Witkacego i bez słowa ruszyliśmy do mieszkania Kozanek, wiedząc, że został tam tylko Placek jako zabezpieczenie. Mogłam się wreszcie rozzejrzeć.

Witkacy był jedynym z zespołu, który nigdy nie zadawał pytań o to, co robię, i po co fotografuję akurat ten przedmiot, a nie inny. Nie wiem, czy to narkotyki otworzyły jego percepcję na różne dziwactwa, czy miał tak od urodzenia. Podejrzywał, że jestem trochę jak medium, obserwował mnie nieraz na miejscach zbrodni. Chyba wyczuwał ode mnie jakąś energię, ale w przeciwieństwie do Żamłody reagował spokojem i zaufaniem. Myślę, że gdyby chciał, mógłby zostać niezłym czarownikiem, ale jego życie nie miało, jak moje, drugiego dna, nie miał podwójnej tożsamości i prócz tego, skąd czerpie zasoby środków halucynogennych, nie miał tajemnic. To więcej, niż ja mogłam powiedzieć o sobie.

Zapaliłam wszystkie światła w mieszkaniu. Było już po siedemnastej i powoli robiło się szaro. Nie wiem, dlaczego w tyłu filmach kryminalnych policjanci chodzą po miejscu zbrodni po ciemku, tylko z małymi latarkami. Ja chciałam widzieć wszystko. Zaczęłam od saloniku. Witkacy poszedł do łazienki. Ślady po ciele Kozanek sugerowały, że spadła z krzesła w chwili śmierci. Stolik

nakryty był do podwieczorku, na jasnej serwecie leżała przewrócona filiżanka, niewielka ilość herbaty wsiąkała w tkaninę czerwonawą plamą. Powąchałam, coś ziołowego i malwa sudańska, o charakterystycznym cierpkim zapachu. Zaintrygowało mnie krzesło naprzeciw miejsca, gdzie siedziała Kozanek przed śmiercią. Przy stoliku były cztery krzeselka. Na wpół odsunięte – ofiary, dwa zsunięte razem i częściowo schowane pod blatem stolika oraz jedno – właśnie to, na którym, jak podejrzewałam, siedział zabójca, wsunięte głęboko, najdalej jak się dało. Na stole nie dostrzegłam drugiego naczynia. Wydało mi się to podejrzane. Intuicja podpowiadała mi, że powinna tu być filiżanka, zwłaszcza że były dwie srebrne łyżeczki – jedna przy spodeczku Kozanek, druga zakryta serwetą. Jakby ktoś zapomniał jej zabrać, kiedy uprzątnął filiżankę. Przeszłam do kuchni. Na suszarce nie było nic, otwierałam drzwiczki szafek, aż trafiłam na tę, w której Kozanek trzymała porcelanę. Cztery filiżanki z kwiatowym motywem, identycznym, jak ta na stoliku. Cztery plus jedna znaczyło, że do pełnego kompletu brakowało jednej. Oczywiście mogło być tak, że stłukła się lata temu, ale intuicja znów szczypała pod skórą. Kozanek była zbyt porządnicka, by znieść zdekompletowany serwis kawowy. Czy zabójca zabrał ze sobą filiżankę? Nie znalazłam jej w krzakach ani w koszu. Kto zabiera ze sobą porcelanę? Ktoś, kto bał się, że znajdziemy DNA czy odciski palców akurat na tym przedmiocie, ale nie obawiał się, że będą one na innych rzeczach w mieszkaniu? Może zginęło coś więcej? Wróciłam do pokoju. Porządek, jaki utrzymywała Kozanek, ułatwiał rozeznanie. Na widoku leżały srebra, szkatułka z biżuterią, niezbyt imponującą,

jednak zawsze coś wartą. Zabójca nie zabrał też sprzętu elektronicznego. Motywu rabunkowego nie brałam pod uwagę, ale sprawca mógł jednak podjąć trud upozorowania rabunku. Nie zrobił tego. Jeśli działał pod wpływem emocji, zachował dość zimnej krwi, by zabrać swoje nakrycie i wsunąć krzesło. Chodziłam po pokoju, usiłując zebrać cokolwiek z energii tego miejsca. Nie czułam nic. Nie było gniewu, nie było strachu.

Usłyszałam kroki za swoimi plecami. Odwróciłam się do Witkacego. W dłoniach miał kilka słoiczków i niewielką reklamówkę z blistrami. Hobby Witkaca sprawiało, że nie potrzebowałam dzwonić do laboratorium z pytaniem o znalezione leki i ich zastosowanie. Wiedział wszystko. Gdybym zapytała, powiedziałaby nawet, jakie byłyby skutki uboczne zażycia wszystkich razem i popicia whiskey.

– Ti, niby nie ma tu nic, czego nie powinno być w łazience starszej pani, ale coś mi nie daje spokoju.

– O co chodzi? – Ufałam jego przeczuciom.

Podszedł i rozłożył na stoliku wszystkie leki. Pogrupował je w trzy kupki.

– Tu – wskazał na największą – wszystko, co potrzeba starszej pani, by jej ciało nie skrzypiało, glukozamina, witaminy, wapń, tabletki z tranem, żeń-szeń, pierdoły typu suplementy diety. Nic groźnego. Tu – mniejsza kupka – leki na receptę, nitro na serce, coś na obniżenie ciśnienia, profilaktyka przeciwmiażdżycowa, aspiryna, rutyna i coś na uregulowanie poziomu cholesterolu. To – podniósł jedną z małych brązowych fiolek – leki na uspokojenie, dość łagodne, ale na receptę. Data na opakowaniu sugeruje, że kupiła je kilka tygodni temu, ale

nie otworzyła opakowania, nie brakuje tabletek. Dziwne, bo trzy inne puste fiołki po tym leku sugerują, że brała je regularnie.

– A trzecia kupka?

– Tu mam zagadki, Ti. Jest kilka preparatów odchudzających, czy właściwie zmniejszających łaknienie, aż trzy z pięciu zawierają pochodne efedryny, spore dawki. Jeśli brała je wszystkie naraz, a myślę, że tak, bo w każdej fiołce brakuje dokładnie tyle samo tabletek, musiała być nakręcona jak mały robocik.

– Naspeedowana?

– Właściwie tak. To są leki na receptę, ale coś mi mówi, że nie ma lekarza, który przepisałby wszystkie trzy jednej starszej pani. Stawiam na jej przedsiębiorczość. Zdobyła recepty u różnych lekarzy lub zdobył je ktoś podstawiony. Poza tym widzę tu sporo ziół. Nie wszystkie są opisane. Podejrzewam, że też mogą być odchudzające, a nigdy nie wiesz, co w nich znajdziesz. Nie kupiła ich w sklepie zielarskim, na dwóch – podniósł w górę saszetki – opisy są cyrylicą.

– Myślisz o bazarze przy supersamie? – domyśliłam się.

Przytaknął. Gdzie indziej babcia zdobyłaby nielegalne, nieprzebadane i niedopuszczone do obiegu zioła z nalepkami z bratniego kraju?

– Niepokoi mnie jedno. Skoro nie otworzyła fiołki z lekiem uspokajającym, czy brała inne leki, te na serce czy ciśnienie? Na pewno brała te odchudzające i zioła...

– Myślisz, że jej odbijało?

– Bez uspokajających tabletek takie ilości efedryny... Zauważyłabyś wyraźną zmianę jej zachowania, nerwo-

wość, pobudzenie, zgrzytanie zębami, prawdopodobnie uderzenia gorąca...

– Kaloryfery były zakręcone do zera – przypomniałam sobie. – Wiesz, że to nie leki ją zabiły, ale dwie rany kłute w tętnicy szyjnej...

Przytaknął, wzruszając ramionami.

– Ale może ich wpływ na jej zachowanie dostarczył komuś motywacji?

– Była suką od dość dawna, są zgłoszenia, ale wiesz, musimy się dowiedzieć, na ile jej charakterek był czymś stałym, a na ile zmienną z ostatnich tygodni, miesięcy?

– Co najmniej dwóch miesięcy – powiedział, pokazując puste buteleczki. – Choć podejrzewam, że to mogło trwać dłużej. Stawiałbym na to, że nie od razu zaczęła szaleć z pięcioma środkami odchudzającymi, raczej zażywała jeden, organizm się przyzwyczaił, nie widziała efektów, więc dodała następny i następny, aż doszła do tego koktajlu.

Ufałam jego intuicji, zwłaszcza że moja się z nią nie kłóciła. Ktoś będzie musiał przejść się do przychodni w okolicy i apteki ze zniżkami dla emerytów w poszukiwaniu danych z recept. Zapisałam sobie to w notesie. Wyślę jutro któregoś z młodziaków albo Nowakowskiego. Na myśl o tym ostatnim biegającym gdziekolwiek, zasapanym i rozchełstany, złośliwy uśmiech pojawił mi się na twarzy. Taa, Nowakowski ma zaplanowany jutrzejszy poranek.

– Ti, mogę spytać o coś spoza tej sprawy? – Witkacy zawsze był delikatny, gdy wkraczał na teren prywatny lub coś, co w jego odczuciu było prywatne. Może dlatego dobrze nam się pracowało razem.

– Pytaj. – Jakoś wiedziałam, że nie zapyta o nic naprawdę intymnego.

– Ta skarga, masz kłopoty, prawda? – Patrzył na mnie ze spokojną miną człowieka zrezygnowanego.

– Jeśli jeszcze nie mam, będę mieć. Anita zapowiedziała poważną rozmowę, Żukrowski złożył skargę nie tylko do niej, ale też do prokuratury i do wydziału wewnętrznego. Nie wiem, z której strony oberwę, ale nie liczę, że ujdzie mi to na sucho.

– Co mu właściwie zrobiłaś? Jest rozjuszony jak diabli.

Właściwie jak diablina, bo diabły lepiej panują nad emocjami, ale nie powiedziałam tego na głos.

– Och, wiesz, nie zdzierżyłam i przyłożyłam mu. Po prostu. Wiem, że to on skrzywdził te dzieci, ale nie mam dowodów. Żamłoda nawet nie wszczął dochodzenia, spławił mnie i już. A Żukrowski... cóż, zasugerował mi po przesłuchaniu, że mogę się ugryźć i że widział mnie ostatnio z milutką dziewczynką, której postara się przyjrzeć bliżej.

Tą małą dziewczynką była Maja, czteroletnia córka kolegi z drogówki, moja chrześnica. Jedyna osóbką, która potrafiła zmusić mnie do pójścia na mszę i powtarzania, że obiecuję wspomóc rodziców w wychowaniu dziecka w wierze. To znaczyło, że naprawdę kocham to dziecko.

– Skurwiel. – Witkacy sapnął ze złości. – Mam nadzieję, że mocno mu przyłożyłaś.

– Dość, by miał pretekst do obdukcji.

Cóż, nie wszystko wyszło na obdukcji, podbite oko i kilka siniaków to zaledwie ułamek tego, co mu zostałam. Ale nie mógł przyznać, że od spotkania ze mną, ilekroć usiłuje się zbliżyć do dziecka w złych intencjach

albo onanizować się przy pornografii dziecięcej, czuje w podbrzuszu ból nie do zniesienia, mdleje i sika krwią przez kilka kolejnych dni. O tym nie mógł wspomnieć lekarzowi z izby przyjęć. Wiedział, przeczuwał, że mam z tym coś wspólnego, choć nie wiedział, jak to zrobiłam. Gdybym mu powiedziała, że rzuciłam urok, uwierzyłby? Gdybym mu powiedziała, że kiedy naskoczył na mnie po kilku dniach od naszego feralnego spotkania, wyzywając od czarownic, był całkiem bliski prawdy, uwierzyłby? Oczywiście nie byłam czarownicą. Byłam wiedźmą, tylko laik nie zna różnicy. On nim był.

Wyciągnęłam z torby swój prywatny aparat i zaczęłam robić zdjęcia, skrupulatnie obfotografowywałam wszystko, co wydawało mi się istotne.

– Myślisz, że cię wyrzucą? – Witkacy wciąż zastanawiał się nad moją sytuacją.

– Nie sądzę, pośmierdzi, pośmierdzi i minie, ale Ani-ta jest wnerwiona, za dużo szumu, a nie minął jeszcze miesiąc od sprawy Szaraka.

Szarak był naszym kolegą z zespołu, który miesiąc temu przeżył załamanie nerwowe po tym, jak odeszła od niego żona. Nie poszedł jednak do baru pić, jak poradziłyby sobie z tym problemem większość gliniarzy, jakich znam, ale wziął broń i poszedł pod urząd skarbowy. Nie żeby miał jakieś problemy z fiskusem, po prostu tam pracowała jego żona. Opróżnił magazynek w orła białego przy drzwiach wejściowych i ze zdziwieniem zauważył, że zapomniał zostawić naboju, który zamierzał umieścić w swojej czaszce. Nie stawiał oporu, gdy strażnicy go obezwładnili. Obecnie przebywa w psychiatryku na Mickiewicza. Nie ma prawa do wizyt, bo ponawia próby sa-

mobójcze na najdziwniejsze sposoby. Nieskuteczne, jak dotąd. Byłam jednak pewna, że to kwestia czasu. Pięć lat pracowałam z Szarakiem – gdy wbił sobie coś do głowy, nigdy nie popuszczał.

– Załamanie Szaraka wszystkich zaskoczyło, co? – powiedział spokojnie.

Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek jego głos wyrażał coś więcej niż smutek czy spokój. Przytaknęłam.

– Pewnie wszyscy zakładali, że jeśli ktoś od nas wyłąduje w psychiatryku, to będę to ja, co? – Błady uśmiech przemknął mu po twarzy.

– Jasne, Szaraka nawet nie uwzględniali w zakładach. – Uśmiechnęłam się szeroko. – To daje mi pewną nadzieję. Mnie obstawiają najczęściej jako osobę, która wyłąduje za kratkami jako pierwsza, może to znaczy, że ostatni na liście pójdzie siedzieć?

Ostatni na liście był Nowakowski. Witkacy parsknął śmiechem. Nasze opinie o Nowakowskim były całkowicie zgodne.

– Gdybyś potrzebowała jakiejś pomocy, wiesz, zawsze pomogę. Poznałem w ostatnich latach kilku niezłych prawników.

Byli na tyle dobrzy, że zapobiegli jego zwolnieniu oraz uwięzieniu za posiadanie substancji psychoaktywnych w ogromnych ilościach i kilka wyskoków po zażyciu.

– Jasne, dzięki, na razie sama nie wiem, co z tego wyjdzie. Nie zamartwiam się, zrobiłabym dziś to samo i wiesz o tym. Ale jakby co, zgłoszę się po wizytówkę. – Poklepałam go po ramieniu. Przytaknął i znów uśmiechnął się po swojemu, trochę krzywo, półgębkiem, jakby prawa strona jego twarzy była odrobinę mniej plastyczna.

– Chyba wszystko, co? Wracamy? – Rozejrzył się, jak-by sprawdzał, czy o niczym nie zapomnieliśmy.

– Tak, czas już, Placek został? – zapytałam, przypominając sobie, że żadne z nas nie ma samochodu, a nie chciało mi się płacić taksówkarzowi.

– Jest na dole. Naprawdę odebrali ci prawko?

– Tak, uzbierałam więcej punktów karnych niż niemoralnych propozycji w barze w sobotnią noc. – Skrzywiłam się. – Micra stoi na policyjnym parkingu, żebym nie miała pokusy, by jednak się wybrać na przejażdżkę.

– Szkoda, byłaś moją ulubioną podwózką.

Witkacy sam oddał swoje prawo jazdy. Na wszelki wypadek, gdyby miał ochotę sięść za kółkiem w czasie swoich eksperymentów ze świadomością.

– Teraz zostaje nam Placek, pewnie umiera ze szczęścia.

– Tak jak ze wszystkim, co ciebie dotyczy. O co z nim chodzi? Przygadałaś mu, pobiłaś, opieprzyłaś?

– Jestem niewinna jak dziecię. Nie wiem, widać nie nadajemy na tych samych falach. Może jest na to zbyt normalny. – Uśmiechnęłam się, poklepując Witkaca po plecach. Wielu właśnie tak tłumaczyło fakt, że my dwie się dogadujemy, choć inni unikali pracy z Witkacem.

– Nie wie, co traci.

Pogasiłam światła i zabezpieczyliśmy drzwi taśmą. Dobiegała dziewiętnasta. Kolejny jedenastogodzinny dzień pracy.

Placek stał przy swoim fiacie. Palił papierosa i czekał zrezygnowany. Nie był zachwycony, że musi z nami jechać, i nie krył się z tym. Nim wsiadłam do samochodu, zadzwoniła moja komórka.

– Dora, właśnie dostałam papiery z wydziału wewnętrznego. Jutro masz się stawić na przesłuchanie – głos Anity był suchy i zimny. Znałam ją wystarczająco, by wiedzieć, że jest wściekła.

– Sorry, szefowo, nie wiedziałam, że będziesz świecić za mnie oczami.

– Nie jest dobrze, Wit powiedział mi nieoficjalnie – zaakcentowała ostatnie słowo – że są naciski ze strony prokuratury, by sprawę zbadać dogłębnie – znów akcent.

– Żamłoda – westchnęłam.

– Obawiam się, że tak. Twój wielbiciel zwarli szeregi.

Wiedziała o naszym konflikcie charakterów. Niestety, to, co było wystarczającym powodem do rozwodu, nie mogło zmienić tego, że byliśmy skazani na „pracowali razem długo i nieszczęśliwie”.

– Myślisz, że mnie wywałą?

– Nie, ale mogą zawiesić – nie owijała w bawełnę.

– Przeżyję. – Skrzywiłam się. – Będzie czas na wakacje.

– Jeszcze jedno, Dora – zawiesiła głos na chwilę. – Żukrowski wystąpił do sądu o zakaz zbliżania się. Nie możesz podejść bliżej niż pięćdziesiąt metrów.

– Świetnie, jeśli idzie o mnie, wołałabym nie zbliżać się do niego w ogóle, ale powiedz, że dasz jego sprawę komuś innemu, że nie umorzysz jej jak Żamłoda.

– Na razie będziemy cicho, ale nie martw się, jeśli masz rację i jest pedofilem, złapiemy go. – W takich chwilach miała głos ostry jak brzytwa. Wiedziałam, że dopnie swego, choćby miała iść do piekła i z powrotem. Tylko idiota zadarłby z Anitą Czarną, ja zdecydowanie wolę grać z nią w tej samej drużynie.

– Wiesz, że mam rację – powiedziałam spokojnie.

– Wiem, ale musimy mieć coś więcej niż naszą intuicję. Póki twoja sprawa nie przyschnie, mamy związane ręce, oskarżyłby nas o prześladowanie, ale gdy tylko to się skończy, weźmiemy się za niego.

– Mogę ją skończyć szybciej, jeśli chcesz. Przyznam się do winy i tyle.

– Nie – znów głos jak ostrze – nie dostanie tego, czego chce. Jeśli cię skazaą, nie będziesz mogła wrócić.

Przytaknęłam, choć nie mogła tego zobaczyć.

– Jutro przesłuchanie, tak? Mam nadzieję, że po południu. Muszę przesłuchać sporo osób w sprawie Kozanek.

– Morderstwo zawsze jest priorytetem – powiedziała. – Nawet wydział wewnętrzny musi to zrozumieć. Nic, trzymaj się, Dora. Pozdrów Witkaca.

Wiedziała, że jeśli z kimś jest, to ze mną. Zaśmiałam się. Troska o Witkaca była chyba jedyną słabością Anity. Jakimś cudem to narkomańskie nasienie budziło jej instynkt macierzyński bardziej niż jej własne, dorosłe już dzieci.

– Jasne, do jutra.

Placek siedział za kółkiem, niecierpliwie stukając palcami o kierownicę. Witkacy ze stoicką miną zajął tylne siedzenie. Mając do wyboru miejsce obok nadąsanego posterunkowego albo depresyjnego eksperymentatora, szarpnęłam za klamkę od tylnych drzwi. Podaliśmy adresy. Witkacy jechał na Balonową, ja na Bydgoskie. Placek sapnął, ale nie skomentował. Obie lokalizacje dokładnie w przeciwnym kierunku niż Rubinkowo, gdzie mieszkał. Anita musiała go pouczyć o koleżeńskich podwózkach.

premiery
12
lipca



3X
JADOWSKA